

Zdzisław M. Rurarz  
[Niewydane pamiętniki]

## Rozdział XI

**25 - 29 maja 2006 r.**

Dzień 25 maja wymieniłem już powyżej. Teraz jednak robię to jeszcze raz, gdyż w czwartek 25 maja papież Benedykt XVI rozpoczął w Polsce czterodniową pielgrzymkę, pierwszą w czasie Jego rocznego pontyfikatu.

O nowym papieżu już pisałem przed rokiem i jeśli tylko coś miałbym dodać na ten temat, to tylko powtórzę jeszcze raz, że nadal darzę Go sympatią, choć ogólnie odnoszę się z dużą rezerwą do duchownych wszystkich wyznań, jak i religii w ogóle, chociaż niewątpliwie w ostatnim ćwierćwieczu doszło w świecie coś jakby do renesansu religii. Szczególnie dotyczy to Kościoła Rzymsko-Katolickiego, a jeszcze bardziej niektórych kościołów protestanckich. Przeżywa go też islam, zarówno jego odłam sunnicki jak i szyicki. Trudno to co prawda zrozumieć w dwudziestym pierwszym stuleciu, w dobie nieprzerwanego triumfu nauki, ale tak jest. Przeżytki z przeszłości, do których należy również religia, zamiast zanikać podniosły raptem głowę, a ściślej chrześcijaństwo i islam, gdyż hinduizmu, buddyzmu i judaizmu to nie dotyczy.

Co się tyczy Kościoła Rzymsko-Katolickiego, to bodźcem do ożywienia jego działalności był niewątpliwie wybór na papieża w październiku 1978 r. polskiego kardynała Karola Wojtyły, który jako Jan Paweł II stał się w ostatnich latach osobistością *najbardziej* popularną w świecie. Przy tej okazji nowego wigoru dostały wszystkie kościoły chrześcijańskie i choć nie przełożyło się to na masowe nawracanie pogańskich ludów czy choćby zapełnienia pustych ostatnio miejsc kultu w Europie Zachodniej, to z drugiej strony nie można powiedzieć, że ewangelizacja nie poczyniła postępu i nie zatrzymała trendu laicyzacji w świecie. Czy jest to tylko zjawisko przejściowe czy o trwalszych cechach - za wcześnie jeszcze na konkluzję. Faktem jest jednakże, że w sytuacji postępującej dziesiątkami lat laicyzacji społeczeństw, szczególnie w krajach rozwiniętych, nastąpiła jakby przerwa. Tylko w Japonii nic nie zmieniło się i religia, sprowadzona jedynie do niektórych symbolicznych rytuałów, stanowiących część narodowych tradycji, nie wydaje się mieć szans na zmianę istniejącej sytuacji. W krajach zaś b. wspólnoty socjalistycznej, zwłaszcza w b. ZSRR, religia, pomijając już powody tego i głębiej zaszłych

zmian w ostatnim piętnastoleciu, wydaje się przeżywać drugą młodość.

Niezależnie od różnych nadzwyczajnych wydarzeń, jak na przykład w b. wspólnocie socjalistycznej, które przyczyniły się do renesansu religii oraz wyboru na papieża Polaka, który tchnął nową energię w Kościół Rzymsko-Katolicki, również i inne procesy we współczesnym świecie spowodowały, że religia (nie tylko chrześcijańska) znalazła sobie w społeczeństwach niezagospodarowane dotąd nisze, które wypełnia. Współczesny kapitalizm i demokracja bowiem, tam, gdzie już zakorzeniły się lub próbują zakorzenić, uruchomiły niezwykle złożony proces *alienacji* człowieka. Nieskrępowana działalność rynku i tzw. wielka polityka, które mają niewiele wspólnego z prawidłowym kształtowaniem się stosunków międzyludzkich, stworzyły ogromną pustkę, w której człowiek, zwierzę społeczne, nie może sobie znaleźć właściwego mu miejsca. I często właśnie wspólnota religijna *stwarza* mu taką właśnie możliwość. A ponieważ wspólnoty religijne zorientowały się w nagłym wzroście popytu na ich *poza-ewangeliczną* działalność, więc zaktywizowały się niepomiaralnie na odcinku charytatywnym i kulturalno-wychowawczym, gdzie popyt ten jest największy. Przekuwając ten popyt na zorganizowany i stały kontakt z ludźmi szukającymi ucieczki przed alienacją, duchowieństwo większości wspólnot religijnych dostosowuje się do zmieniających się warunków, stając się bardziej wyczulone na sprawy społeczne niż czysto ewangeliczne. „Duchowny-społecznik” zastąpił w znacznej mierze „duchownego-ewangelika”, co w efekcie *zbliżyło* go do człowieka, czującego się zagubionym w świecie wielkiego kapitału i wielkiej polityki.

Na zmianę sytuacji religii na lepsze we współczesnym świecie wpłynęły też inne czynniki. Nie tak bowiem jak to jeszcze było do niedawna, kiedy to różne świeckie prądy umysłowe otwarcie zwalczały religię, dziś jest ona na ogół pozostawiona w spokoju. Antyreligijne prądy świeckie, po wywalczeniu rozdziału kościoła od państwa i pozbawieniu go *bezpośredniego* wpływu na politykę, resztę pozostawiły biegowi czasu. Nie bez racji uważały bowiem, że ogólny postęp będzie osłabiał religię.

Tak się jednak nie stało. Zanik lub degradacja różnych antyreligijnych ideologii, pozostawiły religię w spokoju i zaczęła ona odrabiać utracony grunt i przechodzić do kontrofensywy. Jeśli bowiem człowiek *nie jest* w stanie znaleźć doskonałego ustroju, to może właśnie religia jest do tego predystynowana? Islam jest nawet o tym świecie przekonany,

podobnie jak niektóre odłamy chrześcijaństwa, zwłaszcza protestanci w USA.

W sukurs religii, co w ostatnim ćwierćwieczu ujawniło się szczególnie w odniesieniu do roli papieżstwa, przyszli niezamierzenie przywódcy świeccy, którzy czy to w krajach chrześcijańskich czy niechrześcijańskich, nie tylko nie cieszą się popularnością, ale miejscami są wręcz znienawidzeni przez część czy nawet większość społeczeństwa. I tak na tym tle papież, Jan Paweł II, bił na przysłowiowy łeb i szyję *każdego* z liczących się przywódców świeckich, nie mówiąc już o tym, że żaden z nich nie mógł Mu dorównać czasokresem sprawowania urzędu. A ponieważ papieże głoszą pokój i kierowanie się zasadami moralnymi w stosunkach międzyludzkich, więc tym bardziej są konkurencyjni wobec przywódców świeckich, którzy często, jak to ma miejsce z prezydentem Bushem, głoszą wojnę. Poza tym, przywódcy świeccy, zajmujący się „przyziemnymi sprawami”, narażają się każdemu, komu nie mogą dotrzymać dawanych obietnic. Papieże niczego nie obiecują, a jeśli już, to „na tamym świecie”.

Pielgrzymki papieskie zatem, którym szczególnego znaczenia nadał Jan Paweł II i które mimo ewangelicznego ich charakteru są zawsze jednym z czołowych wydarzeń politycznych we współczesnym świecie, choćby dlatego, że są *novum* w życiu międzynarodowym oraz stosunkach międzyludzkich.

Czy Benedykt XVI, pielgrzymujący w Polsce, wzbogaci dorobek swojego Poprzednika, czy też Jego triumf, jak wszystko inne w świecie, okaże się przemijający, tego jeszcze *nikt* nie wie. Jan Paweł II miał *szczególną* passę. Pierwszy od setek lat niewłoski papież, w dodatku Słowianin i Polak, był od początku predystynowany do wielkiego triumfu lub klęski. Okoliczności sprawiły jednak, że był to *nie mający* sobie równych triumf. Czy istotnie Jemu należy przypisać powstanie *Solidarności* i czy wydarzenie to rzeczywiście spowodowało upadek komunizmu (Jan Paweł II tego nie przypisywał sobie), jest sprawą do dyskusji. Tym niemniej wydarzenie to, łącznie z niewyjaśnionymi w pełni do dnia dzisiejszego motywami i sprawcami zamachu na Jego życie, zapewniło mu *niezrównaną* w historii popularność papieskiego urzędu. Na coś podobnego *nie może* już liczyć Benedykt XVI, a czy któryś z Jego następców powtórzy dobrą passę Jana Pawła II - pokaże dopiero przyszłość.

Co będzie to będzie, a tymczasem oboje z Niunią jesteśmy rozczuleni polskim językiem Benedykta XVI. Wygłaszany krótki tekst czyta On co prawda na ogół z kartki, ale słowa polskie

Zdzisław M. Rurarz  
[Niewydane pamiętniki]  
Rozdział XI (maj-lipiec 2006 r.)

wymawia tak poprawnie, że musi to budzić podziw wśród Polaków. „Ludy zachodnie” bowiem, z Niemcami włącznie, mają olbrzymie trudności z wypowiedaniem polskich słów, ale tego u Benedykta XVI nie słychać! Stąd nie dziwię się głosom niektórych współrodaków, wypowiedanym na gorąco przed kamerami telewizyjnymi, że „*papież mówi po polsku!*”. I wdzięczni Mu za to odpłacają się jak mogą, skandując z kolei po niemiecku na trasie Jego pielgrzymki „*Herzlich Willkommen!*” - “Serdecznie witamy!” - i „*Wir lieben Dich!*” - „Kochamy Cię!”...

Na papieską pielgrzymkę patrzę i od tej strony, że oto Niemiec jest w witany w Polsce wcale *nie gorzej* od swojego polskiego poprzednika. Jest to niewątpliwie osobisty triumf Benedykta XVI, może nawet największy w czasie Jego pontyfikatu, który nie może być przecież długi ze względu na zaawansowany wiek. Benedykt XVI przypadł Polakom do gustu i to pomimo, że wiedzą oni o noszeniu kiedyś przez Niego niemieckiego munduru. Nikt z Polaków jednak nie ma Mu tego za złe i słusznie.

Patrząc zaś na pielgrzymkę od strony czysto politycznej, zarówno w wymiarze międzynarodowym, jak i krajowym, polskim, to nie mogę mimo wszystko nie mieć dodatkowych i dość kłopotliwych refleksji. Pod adresem nowej roli religii i instytucji papieżstwa w świecie wypowiedziałem powyżej wiele ciepłych słów, kierując się maksymalnie obiektywnym spojrzeniem na ich awans, ale *nie oznacza* to, że nie widzę i negatywnych stron tego zjawiska.

Otóż jest to całkiem zrozumiałe, że w sytuacji wyjątkowej posuchy we współczesnym świecie na świeckie autorytety, autorytet papieża niepomiarowo wzrósł. Rzecz tylko w tym, że autorytetu papieża *nie można* oderwać od zdogmatyzowanej religii, zwłaszcza że XXI stulecie zapowiada się na nową falę odkryć, które religię postawią w jeszcze *trudniejszym* niż dotąd położeniu. Zdumiewające przemiany na odcinku religijnym w Rosji, do niedawna siedzibie światowego ateizmu, już nie powtórzą się gdzieindziej i religia nie będzie mieć okazji do przeżycia jeszcze raz *niespodziewanego* przez nią triumfu. Musi więc nastawić się na okres nie triumfu, ale porażek.

Czy jest na to przygotowana? Myślę, że nie. Jan Paweł II, który miał historyczną okazję do *oddogmatyzowania* katolicyzmu nie uczynił tego. Przeciwnie, mówił i pisał jak *najgorętszy*

Zdzisław M. Rurarz  
[Niewydane pamiętniki]  
Rozdział XI (maj-lipiec 2006 r.)

dogmatyk, choć w świecie cieszył się opinią erudyty tolerancyjnego w sprawach wiary. Tyle tylko, że świat, chcąc widzieć w Janie Pawle II kogoś innego niż nim był, nie widział tego, albo *nie chciał* widzieć. Tym bardziej, że nie „zadzierał” On otwarcie z nauką.

Rzeczywistość jednak była inna i nie waham się nazwać ją po imieniu, nie unikając dosadnych określeń. Jan Paweł II bowiem, zamiast zbliżyć religię do wymogów współczesnego świata, po prostu siał ciemnotę! Niunia, która akurat czyta wydaną w zeszłym roku i szeroko reklamowaną Jego 172-stronicową książkę pt. *Memory and Identity - Conversations at the Dawn of a Millenium*, w tłumaczeniu polskim *Pamięć i tożsamość. Rozmowy na przelomie tysiącleci*, co chwila do mnie przybiega i czyta mi różne „kwiatki” z tego ponoć wybitnego dzieła. Przy okazji czytam i ja. Choć rozumiem, że papież nie może podważać różnych „prawd” Pisma Świętego, gdyż wtedy religia, w tym przypadku chrześcijańska, straciłaby swoją rację bytu, ale z drugiej strony, czy *musi* powtarzać nieprawdopodobne bzdury i to w szczegółach? Jak na przykład na temat pochodzenia człowieka? Jan Paweł II co prawda nie sam wymyślił te bzdury, ale powtarzając je dosłownie i nie opatrując własnym komentarzem, współuczestniczy w ich propagowaniu!

Oto w Rozdziale 15, cytując ze wszystkimi detalami za Księgą Rodzaju, jak to Bóg stworzył człowieka, Jan Paweł II chyba *nie oczekiwał* od ludzi oświeconych pozytywnej reakcji na swoje wywody? Niechby nawet sobie wierzył, że jak pisze na str. 79 swojej książki, „*początki historii są w Księdze Rodzaju*”, gdyż na takie dictum można by przymknąć oko, ale kiedy zaraz dodaje, że „*Pan Bóg ulepił człowieka (mężczyznę) z pyłu ziemskiego i w jego nozdrza tchnął oddech życia*”, a potem jeszcze z jego żebra stworzył kobietę dla umilania „człowiekowi” życia, to na co On liczył? Podobnie jak powtarzając następną „prawdę”, że „*Bóg stworzył człowieka na podobieństwo swoje*”. Władca bezkresnego Wszechświata tylko z dwoma oczami i uszami, z parą nóg i rąk, nie mówiąc już o innych częściach ciała? W jakim celu Jan Paweł II przypomina w swojej książce tego rodzaju bzdury i kogo chce On nimi przekonać? Wierzących nie musiał, a niewierzących nimi nie przekona! Nie tylko pisze On o różnych aktach wiary, ale także cytuje różne dialogi, jak np. pomiędzy Bogiem a Abrahamem czy wypowiedzi Chrystusa. I wszystko to cytowane jest w cudzysłowie, a więc jakby było przepisane ze stenogramów! Których? Kto je kiedykolwiek widział? Nie wiedział o tym, że poza Biblią *żadne* inne źródło nie potwierdza

istnienia Abrahama, rzekomego „ojca narodów”? Jan Paweł II wspomina też o Arystotelesie, żyjącym trzy stulecia przed Chrystusem. Nie pisze jednak o tym, że jak to było możliwe, że po Arystotelesie zachowało się wiele jego dzieł, podczas gdy Chrystus nie zostawił po sobie ani *jednego* pisanego słowa! Stąd też kategoryczne stwierdzenia Jana Pawła II w książce, muszą budzić *co najmniej* powątpiewanie co do ich prawdziwości. Tym samym dalsze płynące stąd wywody *nie mogą* być przekonujące, a przeciwnie - budzą głęboki niesmak.

Z poglądami Jana Pawła II, wyrażonymi w książce i nie mającymi już ściśle dogmatyczno-religijnego charakteru, również nie zgadzam się, tak jak nie zgadzam się też z wieloma odniesieniami do polskich doświadczeń historycznych, tych bardziej odległych i tych najnowszych.

Janowi Pawłowi II ze względu na swoją olbrzymią popularność w świecie, wiele rzeczy uchodziło. Jak to raz słyszałem z ust młodej Francuzki, która uczestniczyła w spotkaniu Jana Pawła II z młodzieżą z całego świata. Zapytana co sądzi o Jego wypowiedziach, bez wahania odpowiedziała:

- *Nie słucham co On mówi, ja Jego po prostu lubię!*

No właśnie. Janowi Pawłowi II upiekło się wiele, gdyż tłumy Go uwielbiały. Inna rzecz, że przy takich okazjach unikał On wchodzenia w religijne dogmaty, a starał się mówić o ludzkich sprawach. Jego następcom jednak już *nie uda się* coś podobnego. Auditorium będzie już dla nich mniej przyjazne, a może nawet otwarcie krytyczne. Jan Paweł II, co brzmi niewiarygodnie, zostawił po sobie intelektualną pustkę. Krytykował komunizm, potem coraz bardziej kapitalizm, coś wspominał o tzw. Trzeciej drodze, ale nawet w zarysach jej nie przedstawił, a do wielu innych wyzwań stojących przed ludzkością nawet nie nawiązał. Natomiast naprodukował świętych jak *żaden* inny papież w historii. W sumie *źle* przygotował Kościół Rzymsko-Katolicki do stawiania czoła wyzwaniom przyszłości.

Nie jest więc wykluczone, że po okresie triumfu papieżstwa przyjdą dla niego ciężkie czasy. Obawiam się, że okres fascynacji tą niezwykłą instytucją minął już bezpowrotnie.

Przechodząc z kolei do bardziej przyziemnego wymiaru pielgrzymki Benedykta XVI w Polsce, to poza jej znacznymi kosztami, które poniesie polski podatnik, wymiernych korzyści z niej też nie będzie. Podobnie zresztą jak nie było z pielgrzymek Jana Pawła II, choć Polacy i

Zdzisław M. Rurarz  
[Niewydane pamiętniki]  
Rozdział XI (maj-lipiec 2006 r.)

świat przypisywali im nie wiadomo co. W czasie któregoś z Jego pielgrzymek, nie pamiętam już której, słyszałem na przykład wypowiedź jakiegoś księdza, że „*teraz dopiero będziemy wiedzieć jak żyć!*”. Nie powiedział natomiast na czym to miało polegać. Jakżeż to, nikt dotąd w Polsce nie wiedział jak żyć i dopiero od papieża musiał się tego dowiedzieć? Czyżby Polacy, i nie tylko oni, byli tak bezradni, że bez religijnej wiary i wskazówek jej nosicieli byli *niezdolni* do życia? Czy nie miał racji David Friedrich Strauss, protestancki religioznawca i filozof niemiecki w XIX stuleciu, kiedy mówił, że „*religia jest szczytłem dla ludzi słabych na umyśle*”? Bez ciągłego prowadzenia ich za rękę sami *nie są* bowiem zdolni do postawienia kroku! Ale czy takie prowadzenie ich za rękę nie pozbawia ich samodzielności i zdolności pojmowania rzeczywistości? W sferze ekonomicznej za wielkie osiągnięcie ludzkości uważa się *ofensywną* postawę człowieka. Wierzy się, że jego nieskrępowana inicjatywa i podejmowanie ryzyka awansują go na coraz to wyższe szczeble rozwoju. A w sferze duchowej ma być odwrotnie?

Na pielgrzymkę Benedykta XVI patrzę jeszcze od strony zbijania przez władze polskie kapitału własnego. Zwłaszcza, że tuż przedtem udało im się stworzyć trzypartyjną koalicję większościową. Klecono ją już wcześniej, ale jakoś dziwnie rozpadała się w ostatniej chwili. Teraz jednak wygląda na to, że koalicjanci - PiS, Samoobrona i LPR - mając 243 mandaty w Sejmie, a więc bezpieczną większość zwykłą, będą rządzić przez jakiś czas. Gdyby jednak do stworzenia koalicji nie doszło, to wizerunek Polski w świecie, jako że z okazji pielgrzymki papieskiej zainteresowanie nią jest duże, mógłby poważnie ucierpieć. W tym sensie więc władzom była na rękę papieska pielgrzymka, gdyż mogły się światu zaprezentować jako kraj wreszcie ustabilizowany politycznie.

Ze wszystkich etapów papieskiej pielgrzymki najbardziej interesującym - przynajmniej dla mnie - był zaplanowany w jej ostatnim dniu, w niedzielę 28 maja, pobyt Benedykta XVI w Auschwitz-Birkenau. Nie była to Jego pierwsza tam podróż, gdyż przedtem bywał już w nim dwukrotnie, ale była ona pierwszą jako papieża i stąd wybiła się na czoło wszystkich innych etapów pielgrzymki.

W cichości ducha miałem nadzieję, że przy tej okazji świat dowie się wreszcie prawdy jak to było z oświęcimskim obozem zagłady, a raczej kompleksem trzech obozów, w Oświęcimiu, Brzezince i Monowicach, które wraz z 45 podobozami były *największą* ze znanych

Zdzisław M. Rurarz  
[Niewydane pamiętniki]  
Rozdział XI (maj-lipiec 2006 r.)

dotąd w historii „fabryk śmierci”. Mało kto bowiem już dzisiaj wie, zwłaszcza poza Polską, że obóz oświęcimski Niemcy utworzyli rozkazem Himmlera z 27 kwietnia 1940 r. i że przede wszystkim miał on służyć *sterroryzowaniu* Polaków. Mało też kto już dziś wie, że pierwszy transport polskich więźniów politycznych przybył do Oświęcimia już 14 czerwca 1941 r. i że Polacy byli też pierwszymi jego ofiarami śmiertelnymi. Pamiętam dobrze z czasów okupacji niemieckiej „czarną sławę” Oświęcimia, choćby z tłumaczenia na polski rodzinom aresztowanych, lakonicznie pisanych kartek z obozu. Prawdy o tym strasznym miejscu nie można było z nich wyczytać, dokąd nie przychodziło nagle krótkie zawiadomienie od komendantury obozowej, że więzień „zmarł na serce”. Dopiero po latach, w lipcu 1957 r., kiedy zobaczyłem Oświęcim-Brzezinkę na własne oczy, to choć już przedtem wiedziałem wiele o nim, to wtedy dopiero zdałem sobie sprawę co to było za piekło na ziemi! Wiało z niego grozą nawet po latach.

Niestety, dziś wiedza w świecie o tym miejscu jest pomimo dostępu do wielu źródeł informacji niepełna i mało kto wie, że Polacy stanowili drugą największą grupę ofiar...

A co teraz widzę na ekranie telewizora? Ano, papież stoi z pochyloną głową przed „Ścianą śmierci”. Nikt jednak telewizzom nie wyjaśnia, że w tym miejscu i bardzo długo ginęli *wyłącznie* Polacy! Zabijano ich z małokalibrowej broni sportowej, a raczej często nie zabijano tylko raniono...Dopiero po godzinach umierali z upływu krwi... Z towarzyszącego scenie komentarza telewizyjnego nie wynikało, że „ściana” była miejscem kaźni Polaków...

#### **4 lipca 2006 r.**

Dziś akurat przypada 230 rocznica ogłoszenia Deklaracji Niepodległości przez obradujący w Filadelfii tzw. Kongres Kontynentalny 13-tu brytyjskich kolonii w Północnej Ameryce. Dzień ten, to rocznica szczególna w historii nie tylko USA, ale świata. Deklaracja - jak wiadomo - nie oznaczała jeszcze, że kolonie tym aktem wybiły się natychmiast na niepodległość, jako że brytyjska metropolia ani myślała o utraceniu swoich posiadłości i wszczęła działania zbrojne dla położenia kresu ich aspiracjom niepodległościowym. Wiadomo jednak czym się to skończyło. Tym niemniej warto przypomnieć, że mieszkańcy zbuntowanych kolonii co najmniej *w połowie* byli za... zachowaniem więzi z metropolią! Choćby z tego



prostego powodu, że *wszyscy* z nich byli Anglikami z pochodzenia i dla bardzo wielu z nich brytyjski monarcha był także ich monarchą. I kto wie co byłoby dalej, gdyby na czele rebeliantów nie stanął George Washington, zagorzały niepodległościowiec, choć tak jak inni Anglik z pochodzenia. Washington walczył ze zmiennym szczęściem, ale w końcu odniósł zwycięstwo nad wojskami królewskimi i 3 września 1783 r. (działania wojenne ustały już wcześniej), w wyniku Traktatu Paryskiego, niepodległość USA stała się faktem.

Wojna o Niepodległość, zwana też Rewolucją, nie była dla USA, podobnie zresztą jak dla Anglii, specjalnie krwawa jak na „wymagania europejskie”, gdzie wzajemne wyrzynanie się walczących stron było jakoby *musum*. Po stronie amerykańskiej ilość zabitych wyniosła tylko nieco ponad 4 tys., choć biorąc pod uwagę ówczesną ilość mieszkańców USA, wojna była jednak dość krwawa. Gdyby dzisiejsze USA miały ponieść takie same straty w stosunku do swojej ludności, to ilość zabitych wyniosłaby ok. 300 tys., niewiele mniej niż poniesione straty w II wojnie światowej.

Z innych nasuwających mi się refleksji, choć nie zamierzam wglębiać się w historię USA, to fakt, że nowopowstałe państwo, uwzględniając tylko ludność pochodzenia europejskiego, liczyło ok. 3,6 mln obywateli, którzy zamieszkiwali terytorium o obszarze ok. 2,3 mln. km. Siłą rzeczy więc, mimo pokaźnego terytorium, USA ze względnie niewielką ilością ludności, nie tak zaraz stały się mocarstwem i tym samym długo jeszcze nie wywierały wpływu na sprawy światowe. Potem jednak, ten stan rzeczy zaczął się bardzo szybko zmieniać i dziś USA z ludnością 75-krotnie liczniejszą i terytorium ponad 4-krotnie większym, stały się *wielkim* mocarstwem. Pod względem ilości mieszkańców USA zajmują 3-cie miejsce w świecie, po Chinach i Indiach, a pod względem obszaru również 3-cie miejsce, po Rosji i Kanadzie.

Nade wszystko zaś, USA liczą się jako *pierwsze* mocarstwo gospodarcze w świecie i to już od stulecia (aktualnie przypada na nie ok. 1/4 produkcji światowej).

Z tych też względów USA są uważane dziś i bardzo słusznie, za pierwsze mocarstwo świata w ogóle, hiper-mocarstwo, albo „jedyne super-mocarstwo” (co jest przesadą, gdyż w broni nuklearnej ustępują Rosji), wywierające pośrednio i bezpośrednio decydujący wpływ na jego dalsze losy. Jest też niezaprzeczną prawdą, że XX stulecie było „amerykańskim stuleciem”, ale czy XXI stulecie będzie nim również, jak tego chcą amerykańscy neokonserwatyści, albo raczej

neokonserwatyści-likudnicy, jest już mniej pewne.

O USA można pisać jak najlepiej i jednocześnie jak najgorzej. Obok masy rzeczy dobrych czy wręcz wspaniałych, są także rzeczy złe i przerażające. Stąd jednoznaczna ocena USA *nie jest* możliwa. Wszystko zależy od tego kto, kiedy i jak patrzy na nie. Dla przykładu można tu zobaczyć zarówno najzgrabniejszych ludzi w świecie, jak i potworów, jako że prawie 2/3 Amerykanów ma nadwagę, a niektórzy z nich ledwie mogą się poruszać! Co prawda, wielu Amerykanów wręcz obłądnie uprawia *jogging* i wszelkiego rodzaju gimnastyki oraz przestrzega dietę, żeby uchronić się od otyłości, ale większość napycha się i opija czym tylko może, nakładając sobie zbędne kilogramy tłuszczu. Ba, nawet szkolne stołówki serwują dzieciom tuczące potrawy i napoje i dopiero ostatnio podnosi się alarm w tej sprawie.

Sięgając do innej beczki, wiele ludzi jest tutaj gustownie i elegancko ubranych, ale w swojej masie Amerykanie ubrani są byle jak, bez najmniejszego gustu, po prostu niechlujnie.

Amerykanie ponadto, są prawdziwą mozaiką wszystkich ras i grup etnicznych. Ci pochodzenia europejskiego, jeśli tak dalej pójdzie, w połowie bieżącego stulecia mogą nie stanowić nawet *połowy* mieszkańców kraju. Kogo tu nie ma! Są Sikhowie z brodami i w różnokolorowych turbanach, południowoamerykańscy Indianie oraz muzułmanki w chustach, czasem także w czarczafach ze szparą na oczy. Coraz więcej widać też Chińczyków, Koreańczyków, nie mówiąc już o Filipińczykach, jak też Hindusach, z kobietami w sari do ziemi i w klapkach na gołych nogach, nawet w zimie. No i są Amerykanie pochodzenia afrykańskiego.

I żeby na tym był koniec, ale gdzie tam! USA są nadal magnesem, przyciągającym ludzi z całego świata, głównie z Ameryki Południowej i Środkowej. W rezultacie tego Latynosi, po Amerykanach europejskiego pochodzenia, są ilościowo już na drugim miejscu, spychając Afro-Amerykanów na trzecie. Ich nielegalny napływ jest nadal olbrzymi i w chwili obecnej nie wiadomo, czy takich nielegalnych przybyszów jest w USA 12 czy 20 milionów! Nikt też nie wie co z nimi zrobić. Odesłać siłą do krajów pochodzenia czy nadać im obywatelstwo amerykańskie? W tym drugim przypadku byłoby to jednak premiowanie łamania prawa, które w dziedzinie imigracji jest w USA bardzo surowe. Ale też jest masowo naruszane, choćby i dlatego, że USA, mimo 4-procentowego bezrobocia, nie mogą się obyć bez pracowitych i nisko płatnych Latynosów.

Tylko dokąd to wszystko prowadzi? USA są co prawda krajem o największej w świecie ilości miliarderów i milionerów, ale jest tu także masa nędzy. Oficjalnie bowiem co ósmy Amerykanin uważany jest za żyjącego w nędzy. Jest też w USA ok. 4 milionów bezdomnych, a 46 mln obywateli nie ma ubezpieczenia na zdrowie. A jeśli nawet ma, to nie zawsze może liczyć na pokrycie w pełni kosztów leczenia, chyba że przekroczy sześćdziesiąty piąty rok życia i korzysta z Medicare, specjalnego rodzaju ubezpieczenia zdrowotnego dla seniorów.

No i mimo tych wielu minusów ludzie z całego świata *nieprzerwanie* napływają do USA i wiele wskazuje na to, że nadal tak będzie.

Jeśli chodzi o mnie, dziś obywatela amerykańskiego, to *nadal* nie mam jasno określonego obrazu USA i to pomimo faktu, że krajowi temu, na którego ziemi urodzone są moje dwie wnuczki, naprawdę życzę wszystkiego najlepszego. Nie mam jasnego obrazu także i dlatego, że wiem (USA nie są przecież jedynym krajem, w którym przyszło mi żyć), iż *nigdzie* na świecie nie ma idealnych krajów i nigdy nie będzie. Z tych znanych mi, jedynie chyba Szwajcaria, w której licząc z krótkimi pobytami spędziłem ok. 9 lat, może jest najbliższa ideału, ale jest to przypadek tak szczególny, że tylko potwierdza powiedzenie, że „nie ma reguły bez wyjątku”.

Tym niemniej nie popełnię chyba błędu, jeśli powiem, że *nigdzie* na świecie nie ma tylu dobrych ludzi i chętnych do pomagania drugim jak w USA. Tylu dobroczynnych towarzystw opieki nad ludźmi czy zwierzętami jak tutaj nie ma *nigdzie* na świecie. Masowym zjawiskiem jest też spontaniczna pomoc ludziom w potrzebie, czy to ofiarom wypadków, klęsk żywiołowych czy sąsiadom, często sobie nieznanym. Ale jest też prawdą, że jest masa różnorakich i mrozących krew w żyłach przestępstw, zarówno tych z premedytacją jak i bez najmniejszych powodów. Fakt, że ilość więźniów wynosi dziś w USA już ponad dwa miliony, ilość wyższa niż w jakimkolwiek kraju rozwiniętym, nie świadczy o nich najlepiej.

No cóż, społeczeństwo, zwłaszcza tak zróżnicowane rasowo, etnicznie, religijnie i kulturalnie jak amerykańskie, nie może być idealne, choć myślę, że ma ono i tak *więcej* pozytywów niż negatywów. Widowym tego przykładem niech będzie fakt, że w zwalczaniu palenia tytoniu USA *przodują* dziś w świecie i już połowa ich obywateli jest wolna od tego groźnego dla zdrowia i życia nałogu. Jest to tym bardziej godne uwagi, że potęga USA zaczęła kiedyś wyrastać na tytoniu!

Na tym, czym naprawdę są USA, zaważyła *unikalna* historia tego kraju, stworzonego przez angielskich emigrantów, którzy z różnych powodów zaczęli opuszczać Stary Kontynent i osiedlać się w Nowym Świecie. USA *nie mogą być* porównywane do innych krajów świata, jak Kanady, Australii czy Nowej Zelandii, które też powstały dzięki europejskim emigrantom.

Pierwszymi nowożytnymi Amerykanami byli Anglicy, co miało *decydujące* znaczenie dla ukształtowania się ich takiej, a nie innej mentalności i światopoglądu. Anglicy bowiem już w XVII wieku wierzyli święcie, że są nie tylko lepszymi od innych narodów, ale że są przede wszystkim wolnymi ludźmi, przeświadczenie najbardziej chyba wryte w dzisiejszą amerykańską mentalność. „*This is a free country!*” - to jest wolny kraj - Amerykanie wykrzykują przy każdej okazji, dzieci nie wyłączając, w tym moich wnuczek. Przeświadczenie o ich nieograniczonej wolności odcisnęło się niezwykle silnie na całym rozwoju kraju, jak *nigdzie indziej* w świecie. Ceniąc wolność ponad wszystko inne, Amerykanom nikt nie może niczym innym zaimponować, gdyż trudno byłoby mu dowieść, że ma więcej od nich wolności.

Przekonanie Amerykanów, że są wolni i tym samym szczęśliwi w sposób bardzo specyficzny ukształtowało ich psychikę. Z natury bowiem są optymistami, co nawet znajduje swój wyraz w ich pieśniach i sztuce, głównie filmowej, w których króluje tzw. happy end.

Na ten stan rzeczy ważny, a może nawet decydujący wpływ, wywarł początek rodzącego się państwa amerykańskiego. Nie tak bowiem jak w przypadku Hiszpanii, Francji, Portugalii czy nawet Holandii, gdzie *państwo* było motorem kolonizacji zamorskiej, ciągnąc z przedsięwzięcia bezpośrednie zyski dla siebie, królestwo brytyjskie dość długo nie brało w niej bezpośredniego udziału, choć jej patronowało. Kolonizacja kontynentu północnoamerykańskiego była początkowo wyłącznie *prywatnym* przedsięwzięciem Anglików, zarówno tych kierujących się motywem zysku, jak i szukających miejsca wolnego od prześladowań religijnych. Brak arystokracji wśród osiedleńców, jak też przedstawicieli władzy państwowej, dał szansę osiedleńcom do stworzenia *samorządnej* typu władzy. Organy przedstawicielskie, pochodzące z wyboru, początkowo nie powszechnego, przyjęły się natychmiast, tworząc tym samym solidne podstawy oddolne dla kiełkującej demokracji. A kiedy brytyjska metropolia zaczęła się coraz bardziej mieszać do porządków istniejących w amerykańskich koloniach, to natrafiła na ich opór, który doprowadził je do niepodległości.

Procesowi samorzutnie tworzącej się demokracji przedstawicielskiej w koloniach amerykańskich towarzyszyło jeszcze inne i nie mniej ważne wydarzenie, które z kolei stworzyło solidne podstawy dla rodzącego się kapitalizmu. Osiedleńcy bowiem, zarówno ci kierujący się motywem zysku czy względami religijnymi, ze względu na warunki lokalne i częściowo doktrynalne mieli silne tendencje do kolektywizmu. Wspólna uprawa roli i scentralizowany rozdział plonów, były wśród osiedleńców szeroko praktykowane i uznawane za jedyne słuszne. Wkrótce jednak okazało się, że kolektywna uprawa kukurydzy w Nowej Anglii nie mogła sprostać rosnącemu popytowi i zaczęto przemyśliwać nad znalezieniem wyjścia z tej sytuacji. W rezultacie tego, w 1623 r. *odstąpiono* od kolektywnej uprawy kukurydzy i jej scentralizowanego rozdziału, przechodząc na indywidualne gospodarowanie i swobodną sprzedaż plonów. Pozytywny efekt tej zmiany był niemal natychmiastowy, co wczesnych Amerykanów przekonało, że *prywatny* charakter gospodarki jest najbardziej wydajny. Przekonanie to już *nigdy* potem nie zostało podważone, nawet przez Wielki Kryzys lat 1930-ch, kiedy to prywatna gospodarka uległa załamaniu się. I kto wie co byłoby dalej, gdyby nie wybuch II wojny światowej, który ożywił w USA koniunkturę. Co więcej, prywatny biznes, który tak marnie spisał się w latach 1930-ch, w czasie wojny, aczkolwiek nie bez kierowniczej roli państwa, dokonał cudów, zwiększając produkcję ponad dwukrotnie. Zrehabilitował się tym wyczynem całkowicie i po wojnie nikt już nie mówił o jego nacjonalizacji.

O ile jednak zarówno demokracja jak i kapitalizm w rodzących się USA znalazły od zarania silne podstawy dalszego rozwoju, zjawisko ze wszechmiar pozytywne, to w olbrzymim stopniu zostało ono zaciemnione innymi, negatywnymi zjawiskami.

Do tych ostatnich należą utarczki i wojny z Indianami, gospodarzami kolonizowanej przez angielskich przybyszów ziemi oraz niewolnictwo murzyńskie.

W odniesieniu do Indian, których prawdopodobnie było ok. 10 mln w dzisiejszych USA i Kanadzie w momencie rozpoczynającego się napływu angielskich kolonizatorów, początkowo nie było z nimi większego problemu. Podzieleni na liczne i wzajemnie zwalczające się plemiona, Indianie różnie traktowali przybyszów i w sumie, koloniści długo nie mieli z nimi większego problemu. Z czasem jednak, nie licząc spontanicznych zrywów, opór Indian przed kolonizacją zaczął przybierać bardziej zorganizowane formy. W latach 1675-1676, Indianie, choć daleko nie

wszyscy, wszczęli nawet krwawą wojnę z kolonistami, zadając im dotkliwie straty. W wyniku tej wojny aż 8 procent mężczyzn wśród kolonizatorów wyginęła, co było relatywnie stratą *dwukrotnie* wyższą niż w czasie amerykańskiej Wojny Domowej, kiedy to ginął co 25-ty dorosły Amerykanin płci męskiej. Ilość ta *nigdy* potem nie była tak wysoka w żadnej innej wojnie. Olbrzymie straty ponieśli też Indianie, którzy już od tego czasu nie byli zdolni do oporu na większą skalę przed nasilającą się kolonizacją.

W efekcie tego, Indianie, dziś nieco ponad 1 procent obywateli USA, przestali być problemem. Część z nich, chcąc nadal trwać przy swojej tożsamości, została zamknięta w rezerwach, podczas gdy pozostali wtopili się gruntownie w społeczeństwo amerykańskie.

Inaczej natomiast mają się sprawy z Murzynami.

Ich masowy, choć niedobrowolny napływ do rodzących się USA, był bardziej wynikiem przypadku niż przemyślanej akcji angielskich kolonizatorów w Nowym Świecie, którzy pierwsi przybyli w 1607 r. do dzisiejszego stanu Wirginia wyłącznie w celach handlowo-biznesowych, bez *żadnego* planu sukcesów, osiąganym przy pomocy murzyńskiej pracy niewolniczej. Nie wyobrażając sobie warunków, które zastaną po przybyciu do celu podróży, przybysze popadli początkowo w olbrzymie trudności, wiodąc żywot na granicy przetrwania. I kto wie, czy przetrwaliby, gdyby w 1613 r. nie nauczyli się od miejscowych Indian uprawy tytoniu. Pierwsze jego partie wkrótce trafiły do Anglii, zdobywając tam olbrzymi popyt. Uprawa tytoniu wymagała jednak dużego nakładu pracy. Przybysze nie bardzo mogli sprostać temu wymogowi, ani nawet napływający coraz liczniej z Anglii pracownicy najemni, pozostający latami faktycznie w pół-niewolnictwie, dokąd nie wykupili się i nie stali w pełni wolnymi.

Co byłoby dalej, gdyby z przyczyn bliżej nieznanych, w 1619 r. do miasteczka portowego Jamestown w Wirginii nie zawinął holenderski statek z niewolnikami murzyńskimi na pokładzie, można jedynie spekulować. Uprawiający tytoń koloniści natychmiast kupili przywiezionych Murzynów i zatrudnili ich, na zasadzie *niewolniczej* pracy, przy uprawie tytoniu, którego produkcja poszła w górę, przyczyniając się do rozkwitu Wirginii, a potem innych kolonii.

Początek murzyńskiego niewolnictwa w rodzących się USA stał się więc faktem. A ponieważ gospodarka plantacyjna zaczęła rozszerzać się również na inne uprawy, przede

Zdzisław M. Rurarz  
[Niewydane pamiętniki]  
Rozdział XI (maj-lipiec 2006 r.)

wszystkim bawełny, więc popyt na murzyńską niewolniczą siłę roboczą *szybko* wzrastał. Zdobywano ją u handlarzy niewolników w Indiach Zachodnich. Kupionych niewolników przywożono następnie do rozrastających się szybko kolonii i sprzedawano na aukcjach. Murzyńska siła robocza była zresztą wykorzystywana nie tylko do prac polowych, ale także wielu innych, ze służbą domową włącznie (nawet George Washington, pierwszy prezydent USA, miał ok. 200 murzyńskich niewolników).

I tak, Murzyni, jako *jedyni* przymusowi imigranci do przyszłych USA, stali się odtąd ich nieodłączną częścią. W tym sensie, USA, pierwsza nowożytna demokracja w świecie, stały się *unikalnym* krajem, gdzie wolni ludzie współistnieli z niewolnictwem, ewidentna sprzeczność pomiędzy jednym i drugim, czego negatywne skutki ciągną się do dzisiaj.

Jak to było możliwe, że koloniści, hołdujący ideałom demokratycznym i zasadom chrześcijańskim, mogli dopuścić do stworzenia niewolnictwa, którego *nigdzie* indziej w świecie zachodnim już wtedy nie było? Pytanie jest tym bardziej intrygujące, że nie próbowali oni z Indian czynić niewolników, a przeciwnie - gotowi byli ich asymilować. Nie można też powiedzieć, że koloniści byli zażartymi rasistami, choć niewątpliwie, jak wszystkie inne białe ludy, „ludzi kolorowych”, zwłaszcza Murzynów, uważali za *nierównych* sobie. Przypisywano im bowiem - jak to ujął tak światły człowiek jak Thomas Jefferson, trzeci z kolei prezydent nowonarodzonych USA – „*natural incapacity*”, czyli naturalną niezdolność w dorównywaniu białemu człowiekowi. Tego rodzaju pogląd można oczywiście zaklasyfikować do rasizmu, ale byłoby to *uproszczeniem* wyjątkowo złożonego problemu.

Zjawisko odstawania Murzynów od przeciętnej reszty społeczeństwa amerykańskiego jest tym bardziej smutne, że *bezsprzeczny* faktem jest, że bez ich niewolniczej w przeszłości pracy rozwój USA byłby z pewnością wolniejszy. Także, gdyby nie problem niewolnictwa, to USA nie przeszłyby najprawdopodobniej wojny domowej, najkrwawszej ze wszystkich wojen w ich historii. Jest oczywiście prawdą, że przyczyną wojny domowej nie była tylko wyłącznie chęć północnych stanów położenia kresu niewolnictwu w południowych stanach, jak to tu i ówdzie mówi się i pisze, ale też prawdą jest, że formalnie to właśnie było jej powodem.

Jakkolwiek nie było, dziś nie można sobie wyobrazić istnienia USA bez Amerykanów afrykańskiego pochodzenia, stanowiących 13-procentowy udział w ludności kraju.

Powracając jednak do głównego tematu, czyli *czym* są naprawdę USA oraz *jakie* jest ich znaczenie i rola w świecie, to spośród niezliczonej ilości spraw, które przy tej okazji należałoby wymienić, chciałbym wybrać tylko niektóre i na nich skoncentrować uwagę.

W pierwszym rzędzie należałoby odpowiedzieć na pytanie, czy Amerykanie są zadowoleni ze swojego kraju i czy naprawdę chcą i mogą zmienić go na lepszy?

Oczywiście, nie wszyscy są z niego zadowoleni, ale *większość* jest zadowolona, o czym już wspominałem powyżej. Amerykanie przekonani są w swojej większości, że żyją w *najlepszym* kraju w świecie i w konsekwencji większość z nich nie chce go zmieniać, a zwłaszcza jego ustroju. Tak samo uważają, że nie są potrzebne bardziej głębokie reformy w funkcjonowaniu państwa federalnego, stanowego czy takich instytucji politycznych, jak partie polityczne. Nie zamierzają też zmieniać istniejącego porządku prawnego, dziś już archaicznego z systemem *jury*. Nikt też nie chce zmieniać systemu funkcjonowania gospodarki. Co najwyżej akceptowane są zmiany typu kosmetycznego, ale *nie* radykalne.

Idąc dalej należałoby też postawić pytanie, czy USA są *naprawdę* demokracją, a nawet twierdzą demokracji w świecie, co nieustannie powtarzają i w co niewątpliwie wierzy olbrzymia większość ich obywateli?

Odpowiedź na to pytanie jest niezwykle złożona. Prof. Robert A. Dahl, światowej sławy konstytucjonalista, twierdzi na przykład w swojej pracy z 2001 r. *How Democratic Is the American Constitution*, że USA *nie są* demokracją, a tylko „prezydencką republiką”!

Z formalnego punktu widzenia, pierwsza w nowożytnym świecie 7-punktowa Konstytucja USA z 1787 r., ani później dodane jej 27 poprawek, słowem *nigdzie* nie wspominają o tym, że USA są demokratycznym krajem. Ale nie ulega wątpliwości, że są i że wszystkie ich rządowe organy, jak określa się władze ustawodawcze, wykonawcze i sądowe, są *wybieralne* powszechnie w wolnych wyborach.

Skąd więc wątpliwość prof. Dahla, czy USA są naprawdę demokratycznym krajem? Stąd, że ma on wątpliwości co do *demokratyczności* wyborów, zwłaszcza prezydenckich i senackich, gdzie jedne stany są bardziej uprzywilejowane od drugich w ilości rozporządzanych przez nie głosów (w skrajnych przypadkach w stosunku 4:1 na korzyść stanów o małej ilości ludności). Rzeczywiście, na potwierdzenie tej opinii można zacytować wybory prezydenckie z



Zdzisław M. Rurarz  
[Niewydane pamiętniki]  
Rozdział XI (maj-lipiec 2006 r.)

listopada 2000 r. Demokratyczny kandydat Albert Gore, który w skali ogólnonarodowej zdobył o 574 tys. głosów więcej od swego republikańskiego przeciwnika George Busha, wybory w końcu przegrał, gdyż Bush w stanie Floryda zdobył od niego 537 głosów więcej. Gore co prawda nie dał za wygraną, domagając się powtórnego przeliczenia głosów na Florydzie, co poparł także sąd stanowy, ale Sąd Najwyższy, mający większość republikańską w swoim składzie, uchylił decyzję i stosunkiem głosów 5:4 przyznał zwycięstwo Bushowi! Wybory prezydenckie są bowiem nie tak uzależnione od ilości zdobytych głosów w skali ogólnonarodowej, ale w poszczególnych stanach.

Bush, wygrywając wybory na Florydzie, zyskał w ten sposób 25 głosów elektorskich i w efekcie zdobył łącznie 271 głosów elektorskich, o 5 więcej niż Gore i tym samym *wygrał* wybory ogólnonarodowe! Ponad 500 głosów na Florydzie znaczyło *więcej* od ponad 0,5 mln głosów w skali ogólnonarodowej.

Innymi słowy, amerykańska demokracja *nie przestrzega* zasady większości, co automatycznie stawia jej sens pod znakiem zapytania.

Inną jej słabością jest *niejasne* rozdzielenie ról prezydenta i Kongresu. Tak na przykład, do prerogatyw Kongresu należy wypowiedanie wojny, co w historii USA zrobił on 8-krotnie. Ale USA od zarania swojego istnienia były ponad 100-krotnie zaangażowane w wojny! Prezydent bowiem, konstytucyjnie odpowiedzialny za politykę zagraniczną i bezpieczeństwo kraju, może w określonej sytuacji podjąć *samodzielnie* działania wojenne. Może oczywiście szukać przedtem akceptacji Kongresu dla swojej decyzji, albo po jej podjęciu, ale w efekcie *nie jest* ograniczony w swoich działaniach, jeśli uzna, że leży to w interesie bezpieczeństwa kraju. W konsekwencji tego, prezydent ma w określonych warunkach *dyktatorskie* uprawnienia, nie bardzo licujące z demokracją. A jak pokazuje doświadczenie, wolne wybory nie dają, niestety, gwarancji wyłonienia *właściwego* człowieka na urząd prezydencki. Wynika to stąd, że ludzie mądrzy i uczciwi na ogół stronią od kandydowania na urząd prezydencki (jak i każdy inny urząd), a nierzadko również nie głosują. Przy frekwencji wyborczej, oscylującej wokół 50 procent i tylko rzadko przekraczającej ten pułap, amerykańska demokracja pozostawia więc wiele do życzenia.

Problemem osobnym, którego nijak nie daje się rozwiązać (jeśli tylko są szczerze chęci w tym kierunku) jest strona *finansowa* wyborów. Nie ma bowiem wyborów bez pieniędzy i ten wygrywa, kto może ich zebrać *jak najwięcej* na swoją kampanię wyborczą. Z reguły czynią to partie, tzw. partie imperialne w pierwszym rzędzie, demokratyczna i republikańska, które od dziesiątków lat niepodzielnie królują na amerykańskiej scenie politycznej. Tylko one są w stanie zebrać odpowiednią ilość pieniędzy na kampanię wyborczą, a wszystkie inne, *outsiderzy*, poza nielicznymi wyjątkami w niektórych stanach, są z *góry* skazane na klęskę wyborczą z powodu braku pieniędzy.

Pogoń za pieniędzmi jest więc *głównym* zajęciem kandydujących polityków na różne urzędy, co w niektórych przypadkach, jak w Izbie Reprezentantów, która co dwa lata ma wybory, graniczy z obłędem. Ledwie ktoś został do niej wybrany, a już musi mobilizować fundusze na następną kampanię wyborczą!

Ten stan rzeczy, a nie jest to tylko prawdą wyłącznie w odniesieniu do Izby Reprezentantów, ale także wszystkich innych kandydatów wybieranych na różne urzędy, prowadzi do nalotu na nich wszelkiego rodzaju lobbystów, którzy za pieniądze kaptują polityków dla swoich celów. Prym wiedzie tu Wielki Biznes, ale nie tylko. Również wszelkiego rodzaju polityczne lobby, czasami z religijnymi powiązaniem, oblepiają wszystkich wybieralnych polityków. W rezultacie tego wybieralne władze, Kongres, a w szczególności jego Izba Reprezentantów, nie cieszą się dobrą opinią. Tylko 1/3 obywateli ma jakieś takie zaufanie do Kongresu, co jest absolutnym nieporozumieniem jak na organ, który jest *głównym* reprezentantem wyborców. W znacznym stopniu mała popularność Kongresu wynika także i stąd, że USA już prawie od pięciu lat prowadzą wojnę z „terroryzmem”, której końca nie widać, a na którą Kongres bardzo lekkomyślnie dał zielone światło. A ponieważ wojnę prowadzi prezydent i inni członkowie jego Administracji, więc nic dziwnego, że znaczenie Kongresu uległo marginalizacji. Zresztą, również i tam, gdzie Kongres ma większe pole do popisu niż prezydent, jak na przykład w gospodarce (do niego należy uchwalanie budżetu państwa), to i tam nie korzysta on ze wszystkich swoich uprawnień.

Stąd też urząd prezydenta nabiera ciągle na znaczeniu, podczas gdy Kongresu, rozbitego

w dodatku na frakcje polityczne, słabnie coraz bardziej.

Na szczęście dla Kongresu, popularność prezydenta Busha nie jest ostatnio większa. Jeszcze pięć lat temu sięgała ona trzech czwartych ankietowanych, a dziś waha się w granicach jednej trzeciej, podobnie jak Kongresu.

Jeśli tak, to jest to *niepokojącą* oznaką popularności najwyższej władzy wykonawczej i ustawodawczej w kraju. Szczególnie niepokojąca jest niepopularność prezydenta, wodza naczelnego w „wojnie z terroryzmem”. Jego dyktatorskie uprawnienia w tej sytuacji mogą być (już zresztą są) o *katastrofalnych* skutkach.

W tym miejscu dochodzimy do kłopotliwej konkluzji. USA szczycą się co prawda stabilnością rządów ze względu na ich prezydencki charakter, ale jeśli już tak jest, to prezydent *powinien* być człowiekiem o nadzwyczajnych uzdolnieniach, szerokiej wiedzy, dużym doświadczeniu w sprawach polityki wewnętrznej i zagranicznej. Powinien też być prawdomówny, mieć poczucie sprawiedliwości i uważnie wysłuchiwać rad innych.

Będę zapewne miał jeszcze nie jedną okazję, żeby o prezydencie George W. Bushu dogłębniej napisać, ale teraz ograniczę się jedynie do użytego już w innym miejscu określenia, że jest on prymitywem i kłamcą.

Jak to więc możliwe, że taki człowiek był dwukrotnie wybierany na urząd prezydencki?

W moim przekonaniu system ogólnonarodowych wyborów prezydenta, którym Amerykanie chętniej się, jest *nieporozumieniem* od początku do końca. Pomijając już wspomniany powyżej fakt, że prezydent wybierany jest nie tak przez ogół obywateli jak przez stanowych elektorów, sam pomysł prezydenckich wyborów ogólnonarodowych jest chybiony. Początkowo zresztą, do 1824 r., prezydenta wybierał Kongres. Potem coraz bardziej był on formalnie wybierany w głosowaniu powszechnym, a po wojnie domowej już w każdym stanie. System ten - w moim przekonaniu - szwankuje i to z wielu powodów. Przede wszystkim, ze względu na ważność głosów elektorskich, prezydencka kampania wyborcza zamyka się do problemów stanów, które od wyborów do wyborów wykazują *zmiennie* sympatie, raz popierając demokratów, a raz republikanów. W konsekwencji tego prawdziwa prezydencka kampania wyborcza - jak było w czasie ostatniej w 2004 r. toczyła się *tylko* w szesnastu stanach, a

Zdzisław M. Rurarz  
[Niewydane pamiętniki]  
Rozdział XI (maj-lipiec 2006 r.)

najbardziej zażarta była w Pensylwanii, gdzie Bush jeździł ze swoimi mowami aż 32 razy, podczas gdy w moim stanie Wirginia nie był on ani raz, podobnie jak jego demokratyczny rywal John Kerry! Ten stan rzeczy powoduje, że o ile prezydencka kampania wyborcza jest niezwykle splotona i bardziej przypomina widowisko cyrkowo-odpustowe niż wydarzenie polityczne, to w sytuacji takiej jak w Pensylwanii, gdzie Bush występował wielokrotnie, nie mógł on przecież powiedzieć za każdym razem coś nowego! Co więcej, bezpośrednie spotkania kandydatów prezydenckich z wyborcami są lipą! Spotykają się oni z wyselekcjonowaną przez stanowych bosów partyjnych klaką, która obłędnie bije brawo niemal po każdym słowie kandydata, dmucha w piszczałki i trąbki, a nade wszystko wypuszcza masę baloników...

Tego rodzaju prezydencka kampania wyborcza, w połączeniu z niedojrzałością polityczną wyborców, którzy na ogół od lat głosują zawsze tak samo, mija się z celem. Tak naprawdę liczą się tylko ci wyborcy, którzy są niezdecydowani na kogo głosować albo czy w ogóle pójść do urn. Przekabacenie takich na jedną czy drugą stronę przy pomocy hałaśliwej, prymitywnej i zakłamej propagandy wyborczej jest z reguły nie tak wynikiem elokwencji kontestujących kandydatów na urząd prezydencki, jak różnych chwytów różnych ekspertów, zwłaszcza od telewizji, jak pognębić przeciwnika. Wzajemne chlapanie się błotem, a *nie* poważna debata polityczna, urosło więc do sztuki kaptowania wyborców.

I nic, niestety, nie wskazuje na to, że zwyrodniałe do cna ogólnonarodowe wybory prezydenckie ulegną radykalnej reformie.

Ale *jaka* powinna być ta reforma?

USA - moim zdaniem - powinny *powrócić* do wyboru prezydenta przez Kongres, a nie ogół obywateli, co zresztą też nie zawsze jest prawdą, jako że w ostatecznym rachunku decydują wspomniane już głosy elektorskie w poszczególnych stanach. Kongres też co prawda może nie wybrać właściwego kandydata na prezydenta, zwłaszcza jeśli różne wyjątkowo wpływowe lobby będą go nadal wręcz terroryzować. Działalności lobby w kuluarach Kongresu można jednak położyć kres. Nie byłoby też, jak przy okazji ogólnonarodowego wyboru prezydenta, gorszącego widowiska, demagogii, wodolejstwa i chlapania się błotem, co nie licuje z pierwszą jakoby demokracją świata! Jest też bardzo prawdopodobne, że wybór prezydenta przez Kongres

Zdzisław M. Rurarz  
[Niewydane pamiętniki]  
Rozdział XI (maj-lipiec 2006 r.)

wyeliminowałyby wiele otwartych i zakulisowych machinacji, które rozpoczynają się na ponad dwa lata przed terminem wyborów i niepotrzebnie dostarczają opinii publicznej spekulacji i sensacji. Tak na przykład, przynajmniej na dzień dzisiejszy, największe szanse na kandydowanie z ramienia partii demokratycznej w wyborach prezydenckich w listopadzie 2008 r. wydaje się mieć sen. Hillary Rodham Clinton, żona b. prezydenta Billa Clintona. Może w końcu do tego nie dojdzie, ale już dziś toczą się boje w łonie partii demokratycznej kto w końcu będzie jej kandydatem na przyszłego prezydenta, niepotrzebnie rozpalając namiętności i dzieląc partię od wewnątrz.

W każdym razie, system wyboru prezydenta w USA woła o reformę i jest *czołowym* problemem do rozwiązania.

W przeciwnym przypadku amerykańskimi prezydentami będą coraz większe miernoty, ludzie bez charakteru i honoru (takim był Bill Clinton), czy wreszcie niebezpieczni maniacy w postaci obecnego prezydenta Busha, po którym już *wszystkiego* można się spodziewać, światowej wojny nuklearnej nie wyłączając.

Moje „4-lipcowe refleksje” nie kończą się na tych uwagach. Wiele innych pozostawiam do innych okazji, które z pewnością nadarzą się, a wtedy podzielę się swoimi daleko nie wyczerpanymi refleksjami na tematy amerykańskie.

A mam ich bardzo dużo i z każdym dniem coraz więcej.

Co tu dużo mówić, nie tak wyobrażałem sobie USA, kiedy decydowałem się szukać u nich azylu politycznego. Te, które znałem wcześniej, zwłaszcza w latach 1962-1966, kiedy byłem na placówce dyplomatycznej czy nawet te, które zastałem na początku lat 1980-ch, jawiły mi się *inaczej* od tych, które teraz widzę...

Nie stawiam jeszcze kropki nad „i”, ale nie ukrywam, że jestem *coraz bardziej* rozczarowany moją nową Ojczyzną. Wierzę tylko, że może jeszcze zawróci ona z drogi, którą podąża i której nie przewidywałem i sobie nie wyobrażałem.